Dawni i młodzi twórcy



Bolesław Taborski. Kadr z filmu „Moje Powstanie” w reżyserii Anny Taborskiej.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Z dystansu czasu garstka dziewięciu młodych polskich

studentów, która w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego stulecia znalazła się w Londynie, nie przestaje zadziwiać swoją postawą i losami. Wymienię ich nazwiska alfabetycznie: **Andrzej Busza, Bogdan Czaykowski, Adam Czerniawski, Jan Darowski, Janusz Ihnatowicz, Zygmunt Ławrynowicz, Mieczysław Paszkiewicz, Florian Śmieja** i **Bolesław Taborski**. Zaczęli wtedy wspólnie wydawać swoje pisma i pierwsze książki. Znalazlszy się na bezpiecznym i zasobnym Zachodzie ludzie ci, po uciążliwych przejściach przez Sowiety i wojenną Europę, opanowali język angielski, ale… choć zdobyli brytyjskie dyplomy uniwersyteckie, sercem przylgnęli do języka i dziedzictwa polskiej ojczyzny. Pozbawieni z paru wyjątkami domu rodzicielskiego w niesprzyjających warunkach douczyli się języka polskiego i władali nim do tego stopnia, że potrafili go po mistrzowsku używać.

Może zajęli stanowisko reakcyjne, nieżyciowe, niepazerne, niezrozumiałe dla młodszych roczników marzących o wydostaniu się czym prędzej z Polski i robieniu kariery na Zachodzie.

Może jednak, ci młodzi ratowali duszę ukształtowaną przez międzywojenny etos wychowania i oświaty w Polsce, i dali świadectwo pogrobowców wartościom utraconej ojczyzny, spadkowi trudnego dziedzictwa.

Patrzącego na dokonania tych niewyobcowanych przez wojnę i

Zachód młodych, zdumiewa bogactwo ich osiągnięć. Rodzi się pytanie: skąd wzięła się ich niespożyta energia i ambitne inicjatywy, by zrobić coś dla Polski, by przysporzyć jej chwały mimo, że Polska nie dała im ani wykształcenia, ani zawodu, ani pracy czy wynagrodzenia, ba, nawet uznania? Co było motorem ich aktywności ? I dochodzę do wniosku,że chyba tylko bezintresowne, synowskie przywiązanie i poczucie moralnego obowiązku.

Jeden z nich, **Bolesław Taborski** został w 2007 roku wyróżniony przez Związek Pisarzy Polskich za Granicą nagrodą za całokształt twórczości literackiej. Urodził się w 1927 roku w Toruniu, wziął jeszcze jako młodzik udział w Powstaniu Warszawskim, skończył teatrologię na uniwersytecie angielskim w Bristolu, a następnie pracował w polskiej sekcji BBC. Oprócz dwudziestu kilku tomów poezji, które wydał, opublikował m.in. książkę o Ojcu św., przetłumaczył sztuki Papieża na angielski, eseje Jana Kotta o Szekspirze, a na język polski, powieść Grahama Greene'a i dwadzieścia sztuk teatralnych noblisty, Harolda Pintera. Bolesław Taborski , mieszkający od 1953 roku w Londynie , ogromnie życzliwy i koleżeński społecznik, jeździł regularnie do Polski i udzielał się szczodrze w polskim życiu teatralnym. Zmarł w Londynie w 2010 r.

Pomiędzy

Romuald Mieczkowski *(Wilno/Warszawa)*



Romuald Mieczkowski w Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas.

Dwie rzeki

Wilia i Wisła –
pomiędzy rzekami dwoma
moje życie płynie

O co w życiu chodzi

Wiemy jak żyć należy
lecz nie ma czasu
żeby tak żyć

Czyż o to w życiu chodzi –
by czasu nie było
żeby żyć?

Rodzice

Jacyż młodzi, radośni i szczęśliwi

wprost promieniści naiwnie
bo się udało im namówić chłopczyka
o włosach białych jak mleko
by przetrzymał przez krótką chwilę
wiązankę sztucznych kwiatów
w oczekiwaniu na cudownego ptaszka
co miał wyfrunąć z ciemni atelier
ale czy tak naprawdę wyfrunął?

Skądże mogłem wiedzieć wtedy
że czas rozpoczął lat mych odmierzanie
i zakręcił raz na zawsze swe koło

Patrzę na rodziców tak pięknie młodych
chłopczyk uśmiechający się kwaśno
to ja w lipcu 1952 roku –
i bieg swój czas na chwilę wstrzymuje



Autor z rodzicami w 1952 roku. Zdjęcie nawiązuje do wiersza pt. „Rodzice” z tomiku „Pomiędzy”.

Stół z czasów nadziei

Po tym jak rozebrano dom w Fabianiszkach
jego duma dębowy stół-olbrzym
przytułek swój znalazł w pokoju niedużym
na piątym piętrze szarego bloku

Z blatem rozsuwanym na wyjątkowe okazje

mieścił wokół siebie dwadzieścia parę osób
dzieci pod nim bawiły się w chowanego
podczas biesiady pies spokojnie drzemał

Jak misternie rzeźbione ma nogi ten stół –
z niekłamaną nadzieją na dobrobytu czas
ileż to pokoleń on widział i przygarniał
a teraz na nim samotnie wazon stoi –

Czeka stół aż spełni swe przeznaczenie
i usiądzie przy nim rodzina przybyła z daleka
by wspominać tych których nie ma
co wokół niego niegdyś razem zasiadali

Zabory

Gnębili nas ruscy na rubieżach
palili i odbierali wszystko
wywozili całymi rodzinami tam
skąd trudno było powrócić –

Kiedy żelazna kurtyna upadła
byłem i ja w paryżach i berlinach
bo żyję w Europie bez granic

choć i bez ziemi własnej

Ostałem się na bruku Warszawy
do której modlili się moi rodzice
i jaką od dzieciństwa ukochałem –
czemu więc w samym sercu polskości
nocą zakrzyczeć chcę pieśnią ruską

Sam na sam z Ostrobramską

Trzeba było przez tyle lat czekać
tej szczególnej chwili

By pójść przed siebie
przy tak nieodpowiedniej pogodzie
gdy z domu trudno się wychylić

Trzeba było przyjść o takim czasie
by sam na sam być z Twoim obliczem
i szczerze jak dziecko zapłakać

Kara za grzech

Postanowiłem przejrzeć książki
żeby zbędne oddać komuś
albo dyskretnie zostawić –

Przykucnąwszy przy półkach
wertowałem tomiki poezji
umacniając się w przekonaniu
że więcej niż milion poetów
chce zapanować nad metaforą
w tym romantycznym kraju –

Wyrzuty sumienia zmuszały
szukać jakichkolwiek powodów
by część dedykacji ocalić
zostawiałem więc książki
znajomych, miłych mi autorów
i tylko autorek pięknych –

Nie wytrzymała tego sowa
ze złocisto-brązowej statuetki
którą przyznano mi jako nagrodę
za mniej określony całokształt
i staranowała z górnej półki

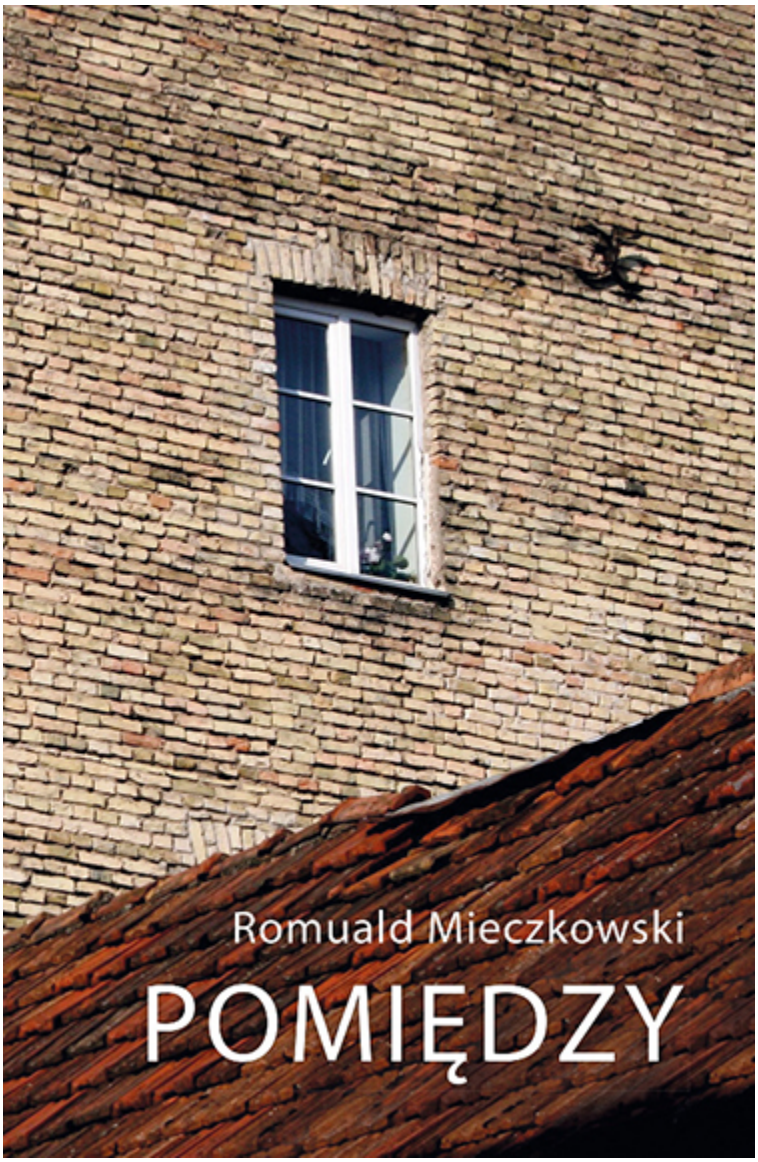
ugadzając mnie boleśnie w plecy

Radziecki Żołnierz w Wiedniu

Jak na pełną przepychu siedzibę cesarzy
pasuje do metropolii monument z kolumnadą
i postimperialny jest w każdym swym calu
lecz błysk jego pozłoty odległy od Klimta –
bliżej mu do karabinu, młota i stali

Bez sensu szukać odpowiedzi na pytanie –
czy stoi ten żołnierz jako atrakcja turystyczna
ciekawostka z antypodów cywilizacji
czy na wieczną cześć i abstrakcyjną chwałę –

Wiedeńczycy otaczają monument opieką
dziękując Bogu że żołnierze co przybyli z daleka
nie wprowadzili w ich mieście swojego ładu



Romuald Mieczkowski, Pomiędzy, Biblioteka znad Willi, Wilno 2018.

Zbiory polskie w Instytucie Hoovera

Rozmowa z dr. Maciejem Siekierskim, kuratorem Zbiorów Europejskich w Archiwum Herberta Hoovera przy Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii.



Maciej Siekierski pracuje w Instytucie Hoovera od 1984 roku.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Blisko 100 lat temu, w 1919 roku, powstał Instytut Hoovera przy Uniwersytecie Stanforda. Jaki był cel założenia tej placówki?

Maciej Siekierski:

Założycielem Instytutu był najsławniejszy absolwent Uniwersytetu Stanforda i późniejszy 31. prezydent Stanów

Zjednoczonych Ameryki (1929-33) Herbert Hoover. Z wykształcenia był inżynierem górniczym i ekonomistą, człowiekiem wielkich interesów, ale również historykiem amatorem.

To on, w 1919 roku, wystawił czek na 50 000 dol. (750 000 w obecnych dol.) jako kapitał założycielski Instytutu. Celem tej placówki było stworzenie zbioru książek i dokumentów dotyczących I wojny światowej oraz pomocy humanitarnej i gospodarczej udzielanej Europie przez Stany Zjednoczone po wojnie.

Wśród pracowników był Witold Sworakowski. Pan pracuje w Stanford od 1984 roku, ponad 35 lat. Przyjechał pan do Stanów z rodzicami jako mały chłopiec, ukończył tu szkołę i studia. Doktorat obronił pan na Uniwersytecie w Berkeley w Kalifornii. Czy praca kuratora/kustosza w archiwum Hoovera podtrzymuje pana polskie zainteresowania i pasje historyczne?

Witold Sworakowski, były pracownik MSZ II RP, prowadził bibliotekę i archiwum Instytutu od 1947 r. do przejścia na emeryturę w 1968 r. Zmarł w 1979 r. Po nim stanowisko dyrektora biblioteki i archiwum, w latach 1969-81, objął, żyjący jeszcze, amerykański politolog i dyplomata polskiego pochodzenia Ryszard Staar-Gwiazdowski. Ja zostałem

zatrudniony w Instytucie Hoovera dopiero w 1984 r., chociaż korzystałem ze zbiorów biblioteki i znałem prof. Sworakowskiego wiele lat wcześniej. Pod koniec lat 70. działaliśmy razem w północnokalifornijskim oddziale Kongresu Polonii Amerykańskiej – on jako prezes, a ja jako sekretarz.

Ale pyta pani również o lata jeszcze wcześniejsze. Tak, do Kalifornii przyjechałem wraz z rodziną w 1962 r., mając 13 lat. Tutaj ukończyłem szkołę średnią i studia. Doktorat z historii obroniłem w 1984 r. na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Jednym z moich promotorów był Czesław Miłosz. To on zainteresował mnie historią i literaturą Złotego Wieku.

Moja praca doktorska, materiały, które zgromadziłem podczas trzyletniego stażu naukowego w Polsce, w połowie lat 70., dotyczyła spraw gospodarczych księcia Mikołaja Krzysztofa „Sierotki" Radziwiłła, autora słynnej „Peregrynacji do Ziemi Świętej", odbytej w latach 1582-84. Uczęszczałem wtedy na seminaria historyczne prof. Henryka Łowmiańskiego i Jerzego Ochmańskiego w Poznaniu, a badania prowadziłem w archiwum Radziwiłłów, znajdującym się w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie.

Pracę obroniłem po powrocie do Stanów, która później wydana została w kolejnych tomach „Acta Baltico-Slavica" Polskiej Akademii Nauk za lata 1991-92. Z zainteresowań historią

wcześniejszą nie zrezygnowałem. W ostatnich latach przetłumaczyłem na język angielski całość „Peregrynacji" i kończę pracę nad przypisami. Spodziewam się, że książka ukaże się w tym roku. Będzie to pierwsze wydanie angielskie tego pomnikowego dzieła literatury podróżniczej polskiej i światowej.

Moim przygotowaniem do pracy w Instytucie była współpraca z Wiktorem Sukiennickim, wileńskim prawnikiem i politologiem, a na emigracji publicystą i historykiem, przez pewien czas też zatrudnionym w Instytucie Hoovera. Przez prawie cztery lata pomagałem mu przygotować do wydania jego dwutomowe *magnum opus* o Europie Wschodniej w czasach I wojny („East Central Europe During World War I: from Foreign Domination to National Independence"). Książka ukazała się już po śmierci profesora, opatrzona przedmową Czesława Miłosza, ucznia Sukiennickiego.

Niewątpliwie praca w Instytucie, dostęp do bogatych zbiorów bibliotecznych i archiwalnych, osobiste kontakty z historykami emigracyjnymi i krajowymi, jak i uczestnikami wydarzeń historycznych wzbogacają mój stan wiedzy i zachęcają do dalszych badań.



W środkowym rzędzie od lewej: Ignacy Paderewski, Herbert Hoover, Józef Piłsudski i ambasador USA Hugh Gibson, Warszawa, Belweder, 1919/HOOVER.ORG.

Dział polski w Bibliotece i Archiwum Instytutu Hoovera stanowi około 5 procent (40 000 tytułów bibliotecznych i ok. 400 zbiorów archiwalnych) całych zbiorów i stale się powiększa. W artykule na temat polskich zbiorów biblioteki i Archiwum Instytutu Hoovera rozróżnia pan w historii polskich zbiorów trzy etapy. Wszystko zaś zaczęło się od przyjaźni Herberta Hoovera z Ignacym Paderewskim. Co zawierają zbiory Ignacego i Heleny Paderewskich?

Zbiory Paderewskich uległy, niestety, rozproszeniu. To, co jest w Instytucie Hoovera, stanowi może jedną trzecią dawnego szwajcarskiego archiwum z Riond-Bosson. Są jeszcze znaczne fragmenty w Archiwum Akt Nowych w Warszawie oraz w *Polish Music Center* przy *University of Southern California* (USC) w Los Angeles. Poza tym znam jeszcze mniejsze części w Bibliotece Narodowej, jak i w Muzeum Polskim w Chicago. Zbiór Paderewskiego w Stanford to głównie korespondencja, przemówienia, druki, fotografie, wycinki dotyczące wielu zagadnień: kariery muzycznej artysty, działalności politycznej, nieruchomości i finansów.

W Archiwum Instytutu są również archiwa Ernesta Schellinga, ucznia Ignacego i serdecznego przyjaciela Paderewskich. W tych właśnie papierach znalazłem wspomnienia Heleny Paderewskiej z lat 1910-20, które opracowałem do druku i opublikowałem w 2015 r. Polskie tłumaczenie wydał Państwowy Instytut Wydawniczy, a angielski oryginał Hoover Institution Press. Posiadamy również archiwum Zygmunta Iwanowskiego, wybitnego malarza polsko-amerykańskiego, a w pierwszych latach po I wojnie – adiutanta premiera Paderewskiego.

Ponoć w planach Instytutu jest oferta stypendium dla badaczy działalności politycznej i społecznej Ignacego Paderewskiego.

Program już został uruchomiony. Dotyczy on historyków z doktoratem i publikacjami, zainteresowanych badaniem naszej dokumentacji związanej z Paderewskimi. Stypendium pokrywa koszty podróży i pobytu tutaj na okres około dwóch tygodni. W tej sprawie można zwracać się bezpośrednio do mnie na adres: siekierski@stanford.edu.

W listopadzie 2004 r. Instytut Hoovera zaprezentował w Polsce wystawę pt. „Amerykańska przyjaźń – Herbert Hoover a Polska". Dotyczyła ona wielkiej pomocy amerykańskiej dla Polski po obu wojnach światowych. Czy ta wystawa była także pokazywana w ośrodkach amerykańskich?

Wystawa była pokazywana w Zamku Królewskim w Warszawie od połowy listopada 2004 do połowy stycznia 2005 r. Potem oglądać ją było można w Krakowie, Łodzi, Katowicach i Poznaniu. Po powrocie do Kalifornii pokazano ją w Instytucie Hoovera, a następnie w skupiskach polskich w Nowym Jorku i Chicago.

Archiwum Hoovera posiada ogromne zbiory dotyczące II wojny światowej. Przejął m.in. zbiory Biura Dokumentów II Korpusu. Polski Rząd na Uchodźstwie przekazał trzy depozyty materiałów, między innymi cenne relacje Polaków o więzieniach i deportacjach sowieckich. Część tych

archiwów wcześniej zdeponowano w Dublinie (Irlandia aż do 1970 r. nie uznawała PRL), więc zbiory były tam bezpieczne. Czy one także przeszły do archiwum Hoovera?

Tak, zbiory w Dublinie w 1959 r. zostały nam przekazane w 20-letni depozyt. Irlandia była wtedy bezpiecznym miejscem, ale brakowało już środków na opłacanie czynszu.

„Zbiory dublińskie" to depozyt Aleksandra Zawiszy, ministra spraw zagranicznych Rządu RP na Uchodźstwie. Składał się on z archiwum MSZ, które ewakuowano we wrześniu 1939 r. do Rumunii oraz akt Ministerstwa Informacji i Dokumentacji z okresu II wojny. Termin depozytu minął bez odzyskania niepodległości przez Polskę, więc zbiory te przeszły na własność Instytutu. W 1999 r. Instytut przekazał gratis mikrofilmy tych zespołów Polsce, podczas wizyty członków rady nadzorczej Instytutu Hoovera w siedzibie MSZ w Warszawie.

Kolejna wielka postać, której zbiory są w Instytucie Hoovera, to Jan Karski. Jakie materiały są w archiwum i jak zostały pozyskane?

Wkład Jana Karskiego w gromadzenie polskiej dokumentacji historycznej w Instytucie Hoovera był ogromny. Jego wyprawa do Europy jako „agenta akwizytora" Instytutu, na zlecenie Herberta Hoovera, przyniosła duże rezultaty. Największym z

nich było Archiwum Biura Dokumentów II Korpusu, zawierające około 20 tysięcy relacji polskich zesłańców i więźniów GUŁAG-u.

Karski spotykał się kilkakrotnie z gen. Andersem, w Rzymie i w Ankonie, przekonując go, że Instytut Hoovera jest najpewniejszym miejscem dla zabezpieczenia archiwalnej spuścizny II Korpusu. Karski ostatecznie przekazał nam także swoje osobiste archiwum. Głównym „konkurentem" było federalne Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, ale mój artykuł z 1988 r. w „Polish Review" o „białych plamach" w stosunkach polsko-sowieckich przypomniał mu o jego wyprawie z 1946 r. i przekonał, że jego własne archiwum powinno znaleźć się w Instytucie Hoovera.

Archiwum Karskiego dotyczy głównie jego działalności w Stanach Zjednoczonych, ale skupiając w sobie moc dokumentów, korespondencji, zdjęć i wycinków prasowych, stanowi ważny zbiór dla kolejnej biografii bohatera.

W 2017 r. podpisana została umowa z powołanym w roku 2016 w Warszawie Ośrodkiem Badań nad Totalitaryzmem im. Witolda Pileckiego. Ośrodek uruchomił m.in. portal: www.zapisyterroru.pl, który w zamyśle ma być największym, dostępnym w internecie zbiorem gromadzonych od 1943 r. świadectw ofiar i świadków sowieckiego totalitaryzmu w okupowanej Europie. Jakie są

zamierzenia współpracy Ośrodka im. Pileckiego z Instytutem Hoovera?

Ośrodek zamierza przepisać wszystkie ankiety i relacje Polaków znajdujące się w zbiorze Biura Dokumentów, a jest ich około 20 tysięcy. Przepisanie umożliwi pełną indeksacje tych materiałów. Ostatnim krokiem będą tłumaczenia na język angielski. Dostęp do tych źródeł w języku angielskim w internecie otworzy te materiały dla historyków z całego świata.

W Archiwum Hoovera są także archiwa Radia Wolnej Europy (audycje, skrypty, archiwum dyrekcji RWE). Czym się różnią od materiałów przekazanych przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego do Ossolineum?

Nie korzystałem z materiałów po Janie Nowaku, więc nie wiem dokładnie, co w nich się znajduje. Nowak obiecał nam, że kopia jego archiwum będzie przekazana do Instytutu Hoovera. Powtórzył tę obietnicę latem 2000 roku, kiedy obaj byliśmy na pogrzebie Jana Karskiego. Niestety, tak się nie stało. Jan Nowak opuścił RWE w 1976 r., a polskie nadawanie trwało przez kolejne 20 lat. Zbiór rozgłośni polskiej jest częścią zbiorów redakcyjnych i dyrekcji całej RWE, które są u nas.

Polska część to wiele tysięcy nagrań i skryptów audycji, których – przypuszczam – w Ossolineum nie ma. Z drugiej strony, zbiór

Nowaka zawiera bogatą korespondencję, której my nie posiadamy. Poza polskimi materiałami redakcyjnymi i personalnymi Instytut posiada papiery kilkunastu Polaków, którzy pracowali w RWE, w tym dwóch dyrektorów rozgłośni polskiej: Zdzisława Najdera i Marka Latyńskiego. Niedawno pozyskaliśmy także archiwa oddziału waszyngtońskiego Kongresu Polonii Amerykańskiej z lat 1971-2010, które są interesującym źródłem dokumentacji działalności politycznej Jana Nowaka po jego latach pracy w RWE.



Prezydent Herbert Hoover przed Instytutem swojego imienia, Stanford, 1950.

Kolejne zbiory z lat 60. i 70. to zbiory emigracyjne, premiera Stanisława Mikołajczyka, Józefa Frejlicha, „Lwowskiej Fali" z Londynu, także Stefana Korbońskiego z Waszyngtonu. Co zawierają? Zofia Korbońska, żona Stefana, przekazała jednak swoje materiały do Muzeum Powstania Warszawskiego.

Ja, niestety, nie mam tyle czasu, aby przeglądać wszystkie nasze

polskie zbiory. Zespoły Mikołajczyka, Frejlicha czy Korbońskiego to raczej typowe zbiory emigracyjne, wytworzone poza krajem, ważne, bo zgromadzone przez wybitnych przedstawicieli emigracji politycznej. Zofia Korbońska zrobiła to, co uważała za słuszne, i przekazała swoje papiery, w tym wiele kserokopii przesłanych jej z Instytutu Hoovera, do Muzeum Powstania Warszawskiego.

Zebrał pan materiały drugiego obiegu wydawniczego w okresie Solidarności. Instytut Hoovera posiada bogaty zbiór niezależnej prasy i druków zwartych. W Polsce takie zbiory posiadają Biblioteka Narodowa i Ośrodek Karta; czy ma znaczenie to, że się dublują?

Niewątpliwie sporo wydawnictw dubluje się z tymi dostępnymi w Polsce. Tak kiedyś nie było. Zbieraliśmy, dopóki był sens, bo krajowe zbiory były nielegalne, i z naszej kolekcji korzystało wielu badaczy zachodnich. W roku 1992 przekazaliśmy Ośrodkowi Karta sporo naszych dubletów. Teraz oni są niewątpliwie zasobniejsi – no i dobrze.

Czym zbiory Hoovera się wyróżniają – jeżeli chodzi o ilość i rangę materiałów – np. wobec zbiorów Ossolineum, Biblioteki Narodowej, Centralnego Archiwum Wojskowego, Muzeum Emigracji w Bibliotece Uniwersytetu Kopernika w Toruniu?

To trochę jak porównywanie jabłek z pomarańczami; archiwa krajowe mają swoje zbiory i my mamy swoje. Porównywać możemy się tylko z polskimi zbiorami poza granicami kraju, takimi jak Instytut Sikorskiego w Londynie czy Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku, a może też z uniwersytetami Yale bądź Harvard. Od wszystkich tych instytucji jesteśmy zasobniejsi pod względem zarówno objętości polskich zbiorów, jak ich różnorodności. Oni oczywiście mają dokumentację, której my nie mamy, ale to, co posiadamy, znacznie przewyższa ich stan posiadania.

Instytut Hoovera posiada także np. archiwa historyka i publicysty emigracyjnego Andrzeja Pomiana (Bohdana Sałacińskiego), ambasadorów Romualda Spasowskiego i Zdzisława Rurarza. Kto posiada archiwa Ryszarda Kuklińskiego?

Archiwa Ryszarda Kuklińskiego niewątpliwie posiada CIA. Rozmawiałem na ten temat kilka razy z Józefem Szaniawskim, zmarłym kilka lat temu w dziwnych okolicznościach, polskim przyjacielem i opiekunem Kuklińskiego. Podobnie zresztą jest z „archiwami" Spasowskiego i Rurarza. To, co my posiadamy, to głównie materiały wytworzone już po „wybraniu wolności".

Instytut posiada archiwa Bolesława Bieruta, Zygmunta Berlinga, Jakuba Bermana, Władysława Gomułki i innych.

Co one zawierają?

To nie są duże zbiory: trochę korespondencji, luźne notatki i maszynopisy, zdjęcia, etc. Z bardziej spektakularnych mogę wymienić protokoły przesłuchań Władysława Gomułki, gdy był więziony w Miedzeszynie, czy też list gratulacyjny Józefa Stalina do Zygmunta Berlinga, opatrzony charakterystycznym podpisem niebieską kredką, wraz z kopertą i lakowaną pieczęcią. To są raczej pozostałości po archiwach, które uległy zniszczeniu bądź jeszcze gdzieś pozostają w ukryciu.

W latach 90. nabyto od gen. Czesława Kiszczaka zdjęcia i filmy z Zawratu, Magdalenki i obrad Okrągłego Stołu. Ponoć także w 1991 r. na aukcji charytatywnej w Warszawie, urządzonej przez panią Kiszczakową, zakupiono mundur generała. Czy jest pokazywany w Stanford?

Tak, mundur pokazywaliśmy na kilku wystawach dotyczących zmian w Europie Wschodniej w latach 1989-91. Dodam, że mamy sporo rekwizytów wystawienniczych policyjnego typu, które trafiły do nas przeróżnymi drogami: pałki, hełmy, tarcze policyjne itp. Mówiąc o policyjnych archiwaliach, to możemy pochwalić się również aktami paryskiej ekspozytury carskiej Ochrany, w której znajduje się dużo poloników, takich jak zdjęcia i listy gończe za Piłsudskim i jego towarzyszami.

Instytut nabył archiwum Edmunda Osmańczyka, którym, według wdowy, nikt w Polsce nie wykazywał zainteresowania. Instytut nabył także archiwum Leopolda Tyrmanda. Co zawierają te zbiory?

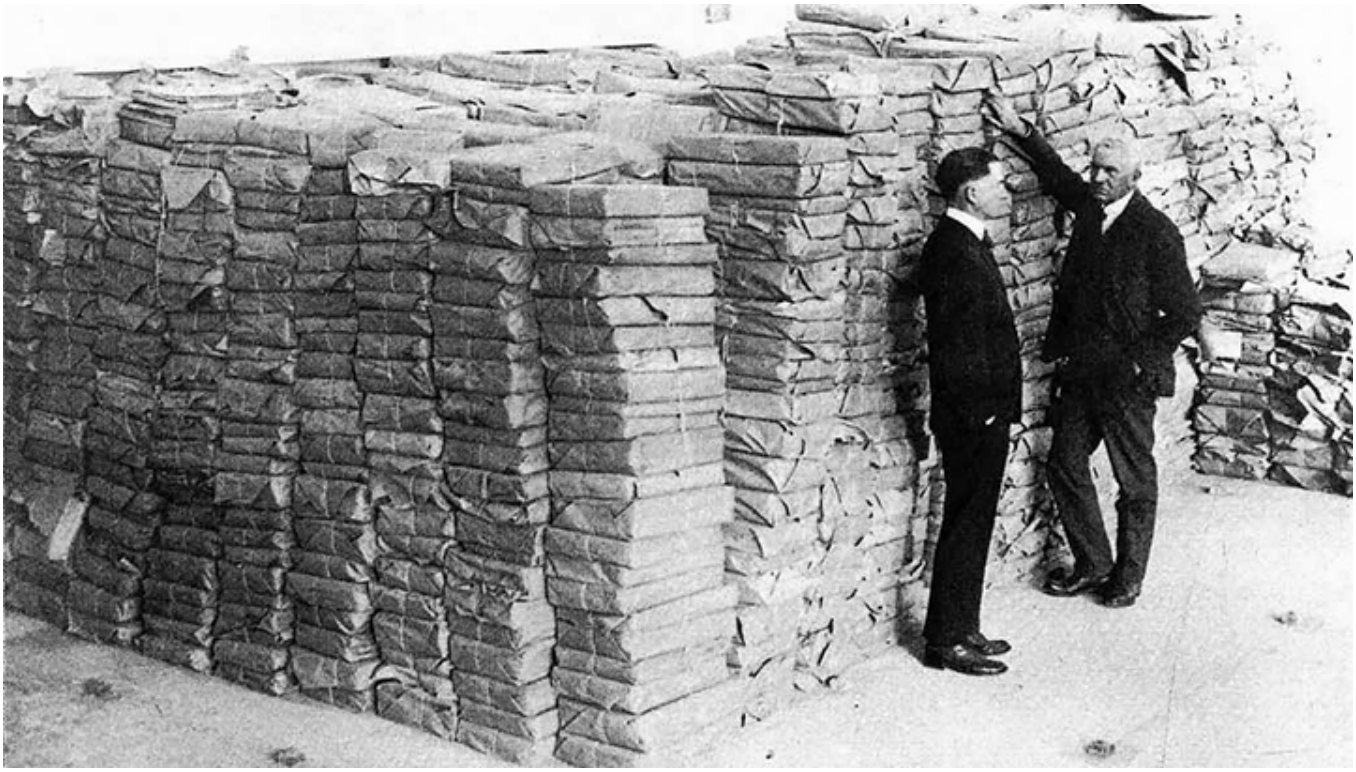
Jak udało mi się ustalić, pani Osmańczykowa przekazała drobną część archiwum męża do Ossolineum i uniwersytetowi w Opolu, ale olbrzymia większość poszła do nas. Jest to praktycznie wszystko: korespondencja, maszynopisy, kwity, etc. Niewątpliwie jest to materiał ciekawy dla przyszłego biografa, dotyczący „bezpartyjnego" pisarza i dziennikarza, który zaczynał swoją karierę jeszcze przed II wojną, a zakończył ją jako senator powstającej III RP.

Oczywiście biograf będzie musiał uzupełnić ten materiał aktami z IPN. Archiwum Leopolda Tyrmanda otrzymaliśmy od wdowy. Zawiera ono korespondencję, maszynopisy, w tym oryginał „Dziennika 1954", którego kserokopia, przesłana przez nas do Instytutu Badań Literackich, umożliwiła pierwsze wydanie krajowe w 1999 r.

Wśród zbiorów są także archiwa Mieczysława Rakowskiego (ponoć między innymi tomy dzienników, które ukazały się w Polsce drukiem) i Jerzego Urbana. Co zawierają i jak się znalazły w tym właśnie miejscu?

Obaj panowie zgłosili się do nas, proponując przekazanie swoich papierów prywatnych. Nie wnikamy w motywacje, przyjmujemy papiery od twórców i świadków historii, jak i od zbieraczy materiałów historycznych. Nie wyraża to aprobaty dla tych konkretnych osób i ich politycznych preferencji. Zbieramy surowy materiał źródłowy dla historyków. Dzienniki Rakowskiego są ciekawe, bo posiadamy je w trzech kolejnych wersjach przed ostateczną publikacją.

Ukazują one, jak to zapis dzienny zamienia się we wspomnienia, uzupełniane później otrzymanymi dokumentami i refleksjami. Zbiór Jerzego Urbana to sporo materiałów rodzinnych, maszynopisy artykułów „Kibica" „Rema", etc. Materiały rzecznika rządu i sekretarza gen. Jaruzelskiego Jerzy Urban przekazał do IPN-u.



Pierwszy transport materiałów historycznych dla Instytutu Hoovera, Stanford, 1921.

Czy jest pewnego rodzaju konkurencja w temacie: komu zaproponować przekazanie archiwów? Jak osoba posiadająca cenne materiały powinna wybierać, mając do dyspozycji znane placówki – zbiory polskie w Polsce (np. Ossolineum, Biblioteka Narodowa, Muzeum Emigracji w Toruniu) i poza granicami Polski (Instytut Piłsudskiego, Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Nowym Jorku). Zbigniew Brzeziński, na przykład, za życia przekazał swoje archiwa do Biblioteki Kongresowej w Waszyngtonie.

Nigdy nie odczuwałem konkurencyjności innych archiwów. Darczyńca sam musi decydować, co chce zrobić ze swoimi papierami. Oferujemy bezpieczne, nowocześnie wyposażone

miejsce i gwarantujemy, że materiały będą przechowywane i udostępniane w najlepszych możliwych warunkach, według zasad przyjętych przez obie strony w umowie zdawczej. Z nikim nie konkurujemy, ale może dodam, że jesteśmy dość selektywni w tym, co przyjmujemy do naszego archiwum.

Chciałbym dodać, że Zbigniew Brzeziński wysoko cenił bibliotekę i archiwum Hoovera. Odbył tutaj część swoich prac badawczych na początku lat 50. Swoje archiwa zaczął przenosić do Biblioteki Kongresowej zapewne dlatego, że w Waszyngtonie znajduje się także Archiwum Narodowe, w którym jest wiele dokumentów rządowych. Na kilka tygodni przed jego śmiercią, w maju 2017 r., przysłał list, w którym napisał, że rozważa pozostawienie niewielkiej części swoich dokumentów w archiwum Hoovera. Ponieważ nie przekazał żadnych pisemnych dyspozycji w tym zakresie, jego rodzina oddała resztę dokumentów do Biblioteki Kongresowej. Część jego listów znajduje się w Instytucie Hoovera w zbiorach uczonych i dyplomatów, z którymi korespondował.

Aby skorzystać ze zbiorów w Stanfordzie, trzeba starać się o stypendia, wsparcie finansowe. Jakby dostępniejszym miejscem wydaje się Nowy Jork czy Chicago, które stanowią duże centra Polonii. W Nowym Jorku jest główna kwatera Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce (SWAP), organizacji istniejącej od 1921 r. W

archiwach SWAP jest m.in. kartoteka osobowa ponad 20 tysięcy weteranów z I i II wojny światowej, wykaz ponad 38 tys. ochotników ze Stanów, Kanady do armii polskiej we Francji z lat 1917-1919 (Błękitnej Armii), kolekcja fotografii i nagrań audiowizualnych, głównie relacji żołnierskich. Czy szczególna odległość zbiorów Hoovera utrudnia, pana zdaniem, dostęp do archiwów?

Niestety, jesteśmy, gdzie jesteśmy, bo tak zadecydował nasz założyciel Herbert Hoover. Nasza względna izolacja była jednym z czynników, dlaczego gen. Anders czy też Rząd RP na Uchodźstwie zdecydowali się na przekazanie podległych im zbiorów do wypróbowanej, przyjaznej i prywatnej instytucji w Kalifornii. Tutaj wydawały się one bezpieczniejsze i mniej narażone na zagrożenia i naciski ze Wschodu. Posiadamy największe poza krajem zbiory źródeł do badania najnowszej historii Polski i jesteśmy zainteresowani, aby dokumentację tę udostępnić jak najszerszemu gronu badaczy. Zachęcamy, odpowiadamy na wszystkie listy oraz e-maile, oferujemy pomoc finansową, ale obawiam się, że więcej zrobić nie możemy. Zresztą z tego co wiem o archiwach polskich poza granicami kraju, nawet tych w znacznych skupiskach emigracyjnych, nie są one oblegane przez rzesze polonijnych historyków.

Ilu pracowników zatrudnia Instytut im. Hoovera? Ilu Polaków? Ile osób, w tym ilu Polaków, korzysta z

materiałów w skali roku?

Instytut Hoovera zatrudnia około 200 osób. Z tego na bibliotekę i archiwum przypada 50 osób, w tym trzech Polaków. W skali roku ponad 200 badaczy korzysta z polskich zbiorów. Większość z tych 200 osób to niewątpliwie Polacy, mieszkający w Polsce bądź za granicą.

Czy polskie zbiory archiwum Hoovera zostaną zdigitalizowane?

W latach 1999-2001 przekazaliśmy do Polski 18 naszych najważniejszych zbiorów z okresu II wojny. Zbiory te reprezentują półtora miliona stron dokumentów. Strona polska, Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, z naszą zgodą, zdigitalizowała te mikrofilmy i zamieściła je na stronie www.szukajwarchiwach.pl. Reprezentuje to blisko połowę naszych polskich zbiorów. W ostatnich latach doszło kilka kolejnych zbiorów.

Digitalizacja, jak i kolejne „migracje" elektronicznych zasobów są bardzo kosztowne. Jestem raczej archiwistą starej daty, uważam, że papier i mikrofilm jeszcze długo będą podstawą działalności archiwalnej. Korzystając z okazji chciałbym zwrócić uwagę czytelników na stronę Biblioteki i Archiwum Instytutu, oraz na stronę, gdzie znajdują się nasze inwentarze archiwalne:

https://www.hoover.org/library-archives/about/news;

www.oac.cdlib.org/institutions/Hoover+Institution.

Hoover Institution Library & Archives, Stanford University
Stanford, California 94305-6003
tel. (650) 723-3563
fax: (650) 725-3445
e-mail: hooverarchives@stanford.edu
http://www.hoover.org/library-and-archives

Wywiad ukazał się w: „Odrze” (listopad, 2018), po angielsku: w „The Polish Review” (New York, January, 2019) oraz w „Nowym Dzienniku”, (New York, 27 IV/3 V 2019).

Pod zachodnimi

gwiazdami



fot. Krzysztof Kasprzyk

Krzysztof Kasprzyk *(Toronto)*

Nastrój późnego wieczoru. Wino, muzyka, głos doświadczonego mężczyzny w doświadczeniach swoich i innych ludzi. Szukanie prawdy w złudzeniach, w wydaje mi się, w oszustwach i podłych kłamstwach, w odczuwaniu siebie we wspomnieniach tak jakby

wtedy już patrzyło się na swe uczestnictwo (przypadkowe/celowe/wymuszone) i na swoje dokonania z boku. Jakby chłodnym okiem reżysera zdarzeń akurat się dziejących.

Parę łez, parę kropel goryczy w tej pięknej melancholii przestrzeni półpustyni i pustyni pełnej, w tym przemierzaniu rozległości, która cię ścieśnia lub rozszerza, gubiąc w drgającej perspektywie horyzontu, gdy widzisz gwiazdy na zachodnim nieboskłonie. I idziesz lub jedziesz naprzeciw wiatrowi, który przeważnie dmie z zachodu przynosząc smak kurzu, tęsknoty, mocno bolących rozmyślań, wzmocnionych kolcami kulistych kłębków krzaków toczonych wiatrem i smagajacych cię po nogach. Wcale nie potrzeba cierniowej korony by doznać i zrozumieć...

Szedłem przez połowę swego życia od Wschodu, nastawiając i wystawiając twarz ku Zachodowi. Od czasu do czasu czułem za plecami czającą się groźbę ze Wschodu, drążącą nieufność, nie raz w najbardziej przyjaznych momentach. Od czasu do czasu czułem przed sobą nadciągający wiatr Zachodu, który w pozornej ufności okazał się sztyletem wbitym wprost w serce moim rodzicom. Oni, ich pokolenie, poczuli się kompletnie oszukani, przeznaczeni do wymazania z mapy świata. Po Żydach, Cyganach, homoseksualistach i chorych psychicznie a także kalekach, których przybywało coraz więcej, w miarę przesuwania się frontów. Może dlatego kaleki oszczędzono.

I stał się i mój czas doświadczeń, z zasianą wschodnią nieufnością i z okresowym żalem i wściekłościa wobec zachodniej obojętności i układności. Bo przecież w Polsce przeważające wiatry wieją stale od zachodu. One mnie nasycały, one mnie przywoływały, one mnie kusiły, one rozwiewały moje tęsknoty, powodując jeszcze większe uczucie żalu. Za Zachodem.

Zachód był mitem, symbolem, tęsknotą, marzeniem. W dusznym Peerelu był spotęgowany aż do bólu, bo czuło się uchodzącą z nas młodość i zdawało się, iż ona niemal w każdej minucie się marnuje, bezpowrotnie wypala. Lata 60. nawołujące do miłości, do układnia się z innym człowiekiem, były w dusznej atmosferze Peerelu falą zawiści i nienawiści, gdzie zmarnowani, zwiedzeni, ogłupiali i zakompleksieni starsi, pluli przeciw nam – za długie włosy, za styl bycia, za swobodę, za zazdrość bycia młodym, a wszystko to wypływało z doświadczeń wojennych.

Z lęków skrajności wyboru, z poczucia tchórzostwa, z dekowania się większości ludzi w oddaleniu od krwawego kła i pazura wojny, byleby tylko przetrwać. Potem także, przez niemal całe pokolenie, z racji zakisłej niby-stabilizacji, w jeszcze bardziej podgniłym poczuciu “wolności”. I próbowali to odreagować na nas, przy okazji nas zatruwając. Dzisiejsza nienawiść nie wzięła się znikąd, nie przyszła nagle. Ona się nawarstwiała, umacniała aż wpadła w ręce sprawnych iluzjonistów, wypłynęła szeroką strugą i chlusnęła nam prosto w twarz.

Mając za plecami Wschód, w którym znajdowałem pośród ruin, pogorzelisk, stosów kości czystej wody diamenty oporu i hardości, dumnego człowieczeństwa, z tym bagażem dobiłem do Zachodu. I czuję się niesłychanie wzbogacony tamtym zza pleców i tym, z czym musiałem się zmierzyć prąc pod zachodni wiatr. W jego strużynach wyłapywałem to czego od lat pragnąłem i czego oczekiwałem – niezależności, swobody z jednoczesnym układaniem się z drugim, zanurzonym w innej kulturze, w innym oglądzie świata.

Najpiękniejsze i najwartościowsze było wykrywanie tych samych, człowieczych punktów odniesienia, by się ułożyć i serdecznie dogadać. Zaznałem tego najpierw w Berlinie, a w całej rozciągłości w Toronto. Przeto nigdy nie opuści mnie wdzięczność do bycia w takim miejscu, gdzie człowiek dla innego jest wciąż człowiekiem, nie mając jednocześnie złudzeń, co do sposobu urządzania nam życia przez tych rozkraczonych na górach pieniędzy, władzy i zaszczytów. Tych pozwalających nam dalej żyć złudzeniami wyniesionymi stamtąd – ze Wschodu. A także z rozharatanego, zwyrodniałego biedą i przemocą, Południa.

Północ z samej swej natury jest nieprzyjazna, zimna, niedostępna w wielkich ostępach pustaci, gdzie możesz zaniknąć z kolejnym oddechem. Na jej przedpolu zbudowano forpocztę zadufanej w sobie Cywilizacji – dostatku, szczęśliwości i wygodnictwa,

popartych umiejętnością opanowywania się w ostatnim momencie. I dlatego z Południa i Wschodu płyną rzesze ludzi do krain obiecujących nie tylko ocalenie, ale i przetrwanie. Płyną topiąc sie masami, ich ciała puchną na wybrzeżach obietnic. Brną przez piaski półpustyni i pustyni składając kolejne, wybielone kości na ołtarzu tęsknot ludzkości – za lepszym życiem.

Czasem w ostatnim momencie dobiegnie ich głos doświadczonego mężczyzny, w doświadczeniach swoich i innych ludzi.

Wieczór z Bruce Sprigsteenem, słuchając jego nowego albumu „Western stars”:

https://www.youtube.com/watch?v=_IXzAAKrsFE&list=PLgaFNC_I_Zknl28UQScBxaKJTYYClAdUh&index=4

„To potężne dzieło sztuki” – powód malowanych gratulacji.



Od lewej: Witold Gombrowicz, Jozev Jarema, Kazimierz Głaz. Zdjęcie zostało zrobione w Galerie Odile Harel w Vence, fot. arch. K. Głaza.

Kazimierz Głaz *(Toronto)*

Krytyczne i żartobliwe nastawienie Gombrowicza do artystów malarzy było znane z jego „Dzienników” i kontaktów osobistych. Na przykład jego pytanie „dlaczego malarze muszą zawsze pisać dużymi literami i na dużych formatach”? Toteż moje malowane gratulacje z okazji przyznanej mu nagrody Formentera, przed nominacja do Nobla, były jakby odpowiedzią na te znane nam tematy. Znalazłem dużą płytę mejsonatową u znajomego stolarza i po małym przygotowaniu powierzchni napisałem pędzlem hołdowniczy tekst, domalowując resztę tła w abstrakcyjnym układzie, żeby to był właśnie list-obraz. Poprosiłem Ritę o podwiezienie tego telegramu samochodem do jego „palacu”. Gombrowicz tak zwykł nazywać Willę Alexandrina. Byłem przy odbiorze. Pisarz był zadowolony i jeszcze bardziej żartobliwie komentował ten dar zwany „Homage a un grand ecrivain”. Wybrał też miejsce do powieszenia. Wisi tam do dziś. Obecnie jest to Muzeum Witolda Gombrowicza w Vence. Stąd to „potężne dzieło sztuki” w tytule zachowało się jako dokument z tamtych historycznych czasów.

Toronto, maj 2019 r.



Kazimierz Głaz, obraz w hołdzie Witoldowi Gombrowiczowi, Muzeum w Vence.

Kopiowanie bez zgody redakcji zabronione.

Korespondencja z Janem Bielatowiczem (1913-1965).



Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Wcześnie zmarły Jan Bielatowicz, krytyk, pisarz i redaktor, był barwną postacią w Londynie, gdzie go poznałem. Terminowałem w jego miesięczniku „Życie” i pamiętam jeszcze pochwały moich filologicznych artykułów, które spotkały się z jego szczodrą aprobatą.

Bielatowicza spotkałem w Londynie po przyjeździe ze studiów w Irlandii. Mogło to być już w 1950 roku. Być może przedstawil mnie jemu Wojciech Gniatczyński, mój kolega z irlandzkich studiów, który znalazł zatrudnienie w katolickim ośrodku wydawniczym „Veritas”. W owym czasie zacząłem pisać wiersze i prace filologiczne próbując drukować je w prasie emigracyjnej. Przypominam sobie moją znaczniejszą rozprawkę o niemieckich tłumaczeniach *Pana Tadeusza,* którą Bielatowicz przyjął do miesięcznika „Życie” i bardzo chwalił.

Był jednym z nielicznych krytyków literackich na emigracji. Nie brakowało mu odwagi.i nie wstydził się bronić polskiej tradycji i ostrzegać przed odszczepieństwem. Wołał o miłość do ojczyzny i języka w patetycznych słowach:

> A więc panowie akademicy: macie rację, że was nie bawi polska kultura, skoro w duszach waszych zagościła już na

> dobre kultura inna. Tylko, że to nie usprawiedliwia obojętności dla kultury macierzyńskiej. Bo tylko ludzie bez ambicji lub bez sumienia mogą się wyrzec swej matki. Strzeżcie się więc, abyście nie zgubili polskich serc. Bo z tej straty – nie wytłumaczycie się ani swoim ani obcym. Nie wytłumaczycie się żadnym językiem świata ani ludziom ani Bogu.

W jednym z numerów „Życia Akademickiego” formułowal swoje sensowne postulaty pod adresem wychodźstwa:

> Zadania polskiej emigracji kulturalnej są dwojakie: dotrzymywać kroku rozwojowi kultury w Polsce i próbować gromadzić i uzupełniać te dobra kulturalne, których Kraj nie może dziś wytworzyć.Troskę o przyszłość pozostawmy Krajowi.

W 1954 roku Bielatowicz pojawił się na moim ślubie w Londynie, gdzie na przyjęciu poweselnym wygłosił dowcipne przemówienie podkreślając bratanie się kresów, Polesia i Śląska w osobach protagonistów ceremonii.

Z racji drukowania w piśmie Bielatowicza utrzymywałem z nim luźną korespondencję, w której z czasem zaczęły się pojawiać

echa jego reakcji na ataki ze strony młodych wydających pisma „Życie Akademickie”, a później „Merkuriusza” i „Kontynenty”, z którymi byłem związany.

Już w liście z 30.12.1958 roku skarżył się:

> Że moje sądy nie podobają się merkuriuszowej młodzieży literackiej, wiem już nie od dziś. Są wśród niej tacy, którym ułatwiałem pierwsze kroki literackie w druku, a którzy potem wymyślali mi niegrzecznymi epitetami. Inny poeta, gdym do jego utworów dorobił przecinki, nawymyślał mi od złodziei, jeszcze inny dawal mi pouczenia, kogo należy uważać za emigracyjnego poetę.
>
> Po pożegnalnym numerze starego „Merkuriusza” nie ma złośliwości, do której by wychowana na wzorach zachodnich w duchu demokracji, młodzież nie była zdolna. W przedwojennej Polsce istniały pisma, które się utrzymywały z paszkwilanctwa. Redaktor odpowiedzialny posiedział trochę, ale sadła zalał za skórę komu chciał. Na emigracji zadanie jest łatwiejsze, ponieważ obelg nikt nie piętnuje.

Z nieco większą nadzieją w ‘Notatkach’ „Życia” pisał:

> Wystrzelono już w emigracyjną próżnię kosmiczną nową rakietę pod nazwą „Kontynenty-Nowy Merkuriusz”. Bardzo sympatyczne jest to, że w pierwszym numerze nowego „Merkuriusza” zespół odwołał, późno, ale szczerze, znaczną część połajanek z ostatniego numeru „Merkuriusza”. Miło przeczytać kulturalne i rozsądne uwagi na ten temat Wojciecha Gniatczyńskiego i Bogdana Czaykowskiego. Poza tym życzymy powodzenia na nowej drodze życia. I koniecznie porządnego korektora. Brak korektora nie przyniesie szkody chyba tylko nowoczesnej poezji.

Nieco poźniej w dyskusji w „Kontynentach” komentował w liście:

> Zabawna jest ta wasza dyskusja, z której wynika, że jeśli się czegoś nie czytuje, to znaczy że to „coś” jest złe, czyli argument z ignorancji. Tak przynajmniej, raczej cynicznie, wypowiedziała się opozycja przeciw „Wiadomościom”. Nie czytamy, bo są złe. Bardzo czarujące. Ostatecznie, oprócz Mieroszewskiego, Gombrowicza i Milosza, ci sami autorzy obsługują „Wiadomości”, co „Kulturę”. Stąd by wynikało, że nawet geniusz potrafi zmienić się w grafomana zależnie od tła. Coś jak kameleon. A już najbardziej kapitalnie brzmią sądy o wszystkich autorach spoza grupy „Kontynentów” jako o urodzonych grafomanach. Czerniawski czyta cudze wiersze

> tylko po to, aby stwierdzić genialność własnych.

Zaprosiłem Bielatowicza do zabrania głosu w kwestii literatury na emigracji po artykule Danilewiczowej. Odpowiedział:

> Nie chciałbym jednek zabierać głosu w sprawie rzeczy Pani Marii, bo niezależnie od jej metody krytycznej (cenzurki) i samej oceny wartości poszczególnych pisarzy emigracyjnych (z jej ujęcia wynika, że wszystko, co dotąd na emigracj napisano to mała kropelka wody wobec gigantycznych walorów poezji grupy „Kontynentów") musiałbym chyba napisać drugi takich samych rozmiarow raport ze sprostowaniami ogromnej ilości błędów, omyłek, przeinaczeń, opuszczeń itp. Pani dr pisala ten referat, jak sądzę, na kolanie i upstrzyła go setką błędów rzeczowych, o których pewne (np. że Czuchnowski 'objawił się jako poeta dopiero w 2 Korpusie) trącą skandalem zważywszy, że pochodzą spod pióra poważnej pisarki. Nie mam osobistych porachunków z Autorką, bo aż nadto pochlebnie mnie w swej pracy powitała, ale tak naprawdę nie można. To oczywiście, tylko dla Pańskiej prywatnej wiadomości, bo nie chciałbym szanownej Autorki urażać.
>
> Muszę powiedzieć, że bardzo mi sie podoba Sito w swojej roli w Kraju i niesłusznie „Kontynenty" go zaatakowały. On

> jednak wyciągnął praktyczne konsekwencje ze swej antyemigracyjnej postawy, zupełnie inaczej niż np. Taborski.

Obiecany artykuł napotkał jednak na przeszkody.

> Co się tyczy mojego artykułu, o czym mi Pan przypomina, musiałem zmienić zdanie. List, jaki PP Czaykowski i Sulik, redaktorzy „Kontynentów" napisali do „Dziennika" po mojej recenzji z ich książki, utwierdził mnie w przekonaniu, że nie będzie między nami nie tylko porozumienia, ale nawet trudno znaleźć jakąś wspólną kulturalną bazę. Coraz więcej mnie dziwi fakt, że tak szumnie sławiony wpływ obyczajów anglosaskich na młode pokolenie, zamiast nauczyć go manier publicystycznych, obraca się w umysłach i temperamentach tego pokolenia w niwecz. Styl dyskusj redaktorów „Kontynentów" (myślę o wyżej wspomnianych) przypomina obyczaje panujące w Mongolii Zewnętrznej. Nie umiałbym w takim gronie powiedzieć ani słowa. Jeśli ci panowie chcą mieć za wszelką cenę rację, niechże ją sobie mają dla siebie.

W kolejnym liście z 1962 roku Bielatowicz donosił:

> Artykułu, o którym kiedyś mówiliśmy, nie napiszę, bo mam

> już wypełniony kalendarzyk zajęć aż do czerwca b.r. Ale bardzo chętnie wezmę udział w wieczorze na temat – Czy pogrzebać „Kontynenty”? Prosiłbym jednak o prawo do gadania przez jakies 25 minut, bo chciałbym wygarnąć wszystko i od serca, nie tyle na osobiste tematy, jak to bywało w zwyczaju Kontynentalistów, lecz na tematy ideowo-pokoleniowe. Nie byłaby to zresztą, jak śmiem tuszyć chała ani kit, lecz z lekka wesoła pogaduszka. Myślę, że pomysł jest ciekawy i może rozpalić widownię (if any). Czekam na odpowiedź w tej materii.
>
> Przy sposobności przepraszam, że nie przywitałem się z Panem na zebraniu z Zawieyskim, ale byłem tak wściekły na mówcę za te brednie, które plótł jak Piekarski na mękach, żem po prostu uciekł, żeby nie zrobić jakiejś karczemnej awantury. Sztandarowy katolik przyjeżdża z misją politruka i do ludzi mieszkających na Zachodzie prawi dyrdymały w stylu Chandry Umyńskiej lub zebrania komsomolców w Stalinowej Wólce opatrując to cytatami z Papieża. Aż wstyd pomyśleć, jak nisko się potrafią niektórzy stoczyć, gdy im zasmakuje dygnitarstwo. Więc nawet nie mogłem ust otworzyć po tym ponurym widowisku i słuchowisku i wypadłem jak oparzony, byle najdalej.

Kiedyś w naszej korespondencji padła taka opinia Bielatowicza o

wspólnym przyjacielu:

> Wojtka Gniatczyńskiego zgubił obóz niemiecki. Wyszedł z niego zupełnie rozbity fizycznie i chyba nie wróci nigdy do normalnego funkcjonowania intelektualnego. Wielka szkoda.

Kiedy w 1962 roku podjąłem się prowadzenia samemu „Kontynentów" Bielatowicz się ucieszył.

> Mam nadzieję, że pismo to nareszcie posteruje we właściwyn kierunku, tzn. nie zrzekając się odrębności i własnej niezależności, włączy się do nurtu twórczości ogólnonarodowej bez demagogicznego i jałowego efekciarstwa i wystawiania języka wszystkim innym rodakom zajmującym się kulturą poza łamami „Kontynentow". Niech się Pan nie przejmuje „odejścien" różnych obiecujących talentów. Od dziesięciu lat obiecują i niczego nie dokonali. Czaykowski się marnuje – wielka szkoda. Sulika warto utrzymać przy filmie. Ostatnio bardzo ciekawie pisze Darowski. Czerniawski może z pożytkiem pisać o poezji angielskiej, byle sam nie pisał wierszy. Natomiast z lekkim sercem pozbyłbym się Taborskiego jako publicysty. To jest arogant i nic więcej. Jego oceny i wystąpienia mają charakter wieców w powiatowych miasteczkach. Owszem, sporo wie on

> o literaturze angielskiej i gdyby się do tego ograniczyl, mógłby być pożyteczny. Niestety, usiłuje grać rolę proroka. Ta jego pogróżka, że odejdzie „w inny świat” brzmi infantylnie…

Mnie się też dostała jego ironia, kiedy napisał w następnym roku:

> Cieszę się ogromnie, że Pan zechciał rzucić okiem na moją recenzję wierszy Hemara i dziękuję za informację, że są to „zręczne wierszyki”, a nie poezja. Uzbrojony w tę wiedzę, rad bym ją kiedyś uzupełnić Pańskim doświadczeniem, co nazywamy poezją.

O ile pamiętam, sprawa została w zawieszeniu.

O Janie Bielatowiczu:

https://www.cultureave.com/pisarz-ktory-nie-zasluzyl-na-zapomnienie-jan-bielatowicz-1913-1965/

Narracje wyobcowanej. O prozie Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej – część 2.



Janina Surynowa-Wyczółkowska, San Juan, Argentyna, 1974 r., fot. Archiwum Emigracji w Toruniu.

Jolanta Pasterska *(Uniwersytet Rzeszowski)*

W powieści *Jesień Gringi* zauważamy także kolejne odstępstwo od stereotypu. Jest ono związane z macierzyństwem. Matka pięciorga dzieci, w tym jednego niepełnosprawnego, początkowo odbiera bycie rodzicielką jako naturalną powinność kobiety. Pod wpływem potomstwa i emigracji jej pogląd na macierzyństwo zmienia się. Po pierwsze dzieci wcale nie chcą być chowane pod matczynym kloszem (bohaterka chciała, by żyły z dala od wojen i totalitaryzmów), ale wyruszają w świat, są wolne i pragną podróżować (w powojennej ojczyźnie byłoby to niemożliwe). Rodzi to w bohaterce sagi z jednej strony poczucie właściwego wyboru miejsca zamieszkania, ale i osamotnienie: „Zostałam sama. Tęskniłam za nimi” (JG, s.145) – przyznaje Teresa.

Przeniesienie niespełnionych marzeń własnych na potomstwo wcale go nie uszczęśliwia. Po wtóre, poświecenie się wychowaniu dzieci spowodowało odłożenie własnych aspiracji i ambicji na plan dalszy. To ogrywanie roli matki nie niesie satysfakcji, ale rozczarowanie.

Janina Surynowa-Wyczókowska chce powiedzieć, że kulturowe i społeczne ramy ograniczają wolność wyboru, nie pozwalają się cieszyć pełnią życia. Jej bohaterka jest szczęśliwa tylko wówczas, gdy o nich zapomina. Ale już młode pokolenie (jej dzieci i wnuki) narzuconej im roli społecznej nie przyjmuje[14].

Wyczółkowska kreuje osobliwą przestrzeń, w której ściera się egzotyka i obcość z polskimi powinnościami. Mimo że tradycyjnie jej bohaterka anektuje przestrzeń domową i występuje przede głownie w roli matki i żony (gospodyni domowej), to autorka powieści przypisuje jej jeszcze jedną rolę. Dzieci powodują, że Gringa staje się łącznikiem pomiędzy polskością a lokalnością. Swoistym pomostem pomiędzy oboma kulturami: kraju rodzinnego i kraju zamieszkania. Właśnie na takiej zasadzie funkcjonuje ona w obszarze społecznym. Na emigracji przestrzeń domowa nie gwarantuje już spełnienia się w wyznaczonej przez patriarchat roli. Znaczenie domu – ostoi rodziny, tradycji, patriotyzmu, na uchodźstwie stopniowo zanika. W tym kontekście symbolicznego znaczenia nabiera sprzedaż dworku, owej „polskiej idylli", która na obczyźnie idyllą być

przestała.

Tym próbom adaptacji towarzyszą nieustanne tarcia i konflikty. Mimo że autochtoni są opisywani przez Teresę jako ludzie otwarci, gościnni to zawsze są przez nią postrzegani jako obcy, odmienni. Kwintesencją wieloletniej współegzystencji z miejscowymi może być dialog Teresy z argentyńską znajomą:

> Cóż? Ty jesteś bardzo biała, a ja ciemna. Widocznie dlatego nie możemy się zrozumieć (JG, s.214).

Takie napięcia wyczuwane są także w kręgu rodziny. Mąż i jego rodzice, a także dzieci mają za złe matce otaczanie się polskimi „reliktami" i tkwienie w przeszłości. Jej polskie sentymenty, tęsknoty, wspomnienia uchodziły w ich oczach za dziwactwo. Dlatego Gringa pozostaje najchętniej w otoczeniu Polaków, służącej Katarzyny i wujcia – majora Jankowskiego. Ich wspomnienia, kultywowana tradycja tworzą namiastkę klimatu polskiego, ale także nie pozwalają przełamać obcości, powodują zamknięcie się w polskim getcie. Upływ czasu nie złagodzi tego odczucia. Wspomnienia Gringi mimo że nie posiadają formy typowo wspomnieniowej są utkane z autopsji autorki, z życia podzielonego na dwie nierówne, jak się okazuje. połowy – argentyńskiej egzystencji, która toczyła się w cieniu wspomnień „polskiej wierzby". Kraj osiedlenia to obszar, na którym

tożsamość polska jest nieustannie poddawana próbie. Ten tożsamościowy sprawdzian jest także widoczny w relacjach drugoosobowej narratorki i autorki. Doświadczenia wygnania wydają sie tu być wspólne. Wojciech Ligęza zwraca uwagę, że:

> Między monologującym podmiotem autorskim a bohaterką przeskakują iskry porozumienia, ustala się pewna wiedza wspólna na temat doświadczenia obcości, na jaka napotyka Pola w Argentynie (...) Narratorka mówi do „Gringi" oraz w imieniu Gringi. Prawa introspekcji niekiedy są w tej powieści nadużywane. Jednak taka konstrukcja nie wyklucza porozumienia ze „zwykłymi czytelnikami" [15] .

Obczyzna służy tu raczej samopoznaniu niż wymianie ciosów ze środowiskiem emigracyjnym (jak w przypadku Gombrowiczowskiej strategii). Natomiast formuła listu-pamiętnika, w jakiej utrzymana jest powieść, umożliwia narratorce-bohaterce nabranie dystansu wobec opisywanych zdarzeń[16]. Starając się wyjaśnić motywy własnego postępowania i zrozumieć wyzwania zmieniającej się rzeczywistości, dokonuje ona zarazem głębokiego przewartościowania światopoglądu i surowego osądu spuścizny romantycznej. I choć nie odrzuca zupełnie dawnych idei, to stara się z nich wybrać tylko to, co rzeczywiście niezbędne w nowej sytuacji egzystencjalnej. Surynowa-Wyczółkowska, podążając

drogą wyznaczoną przez Gombrowicza, opisuje w powieści nieustanny konflikt człowieka ze światem. W tym starciu każdy jednostkowy wybór decyduje o losie człowieka, ale rodzi też rozterki związane z polskością. Warto zwrócić uwagę, że ostatnia część sagi niesie ze sobą odmienną poetykę. Dotąd Surynowa-Wyczółkowska sięgała po tradycyjną powieść obyczajową, w *Jesieni Gringi* zaś dominują fragmenty wspomnień i refleksji na temat minionych lat. Składnia jest urywana, oszczędna, oddająca zmęczenie życiem „Ja z Jose Marią przy szoferze. Zatrzaskiwanie drzwiczek (…) Sprzedaliśmy dom. Koniec. Szlus" (JG, s.133).

Wspomnienia Wyczółkowskiej to z jednej strony szczególny pamiętnik wyobcowania, z drugiej zaś to ślad „wgryzania się" w nową „cudzoziemską ojczyznę", w Argentynę i walka o swoją kobiecą podmiotowość, o realizację własnych ambicji.

Kobiece bohaterki prozy Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej to postacie wyobcowane, samotne, z dotkliwym poczuciem Inności. Mimo podejmowanych prób nie potrafią przystosować się do nowych obyczajów i egzotycznej kultury. Ale narracje te przede wszystkim opowiadają o samotności kobiety w kręgu bliskich, w rodzinie. To doświadczenie najbardziej dokucza, bo różnice kulturowe uniemożliwiają bliskość z mężem, z dziećmi. Czas nie leczy tutaj z wyobcowania, ale je pogłębia. Nieziszczone marzenia, zawiedzione plany zawodowe, a nawet zaburzone role społeczne, które pozwalały choć w tym domowym wymiarze się

spełnić, wpędzają w depresję i poczucie bezsensu istnienia. W emigracyjnym zestawie „męskich" tematów" proza Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej choć przecież także uwarunkowana historycznymi wydarzeniami, wydobywa mikrohistorie kobiet z niebytu. Pokazuje tym samym mniej heroiczną, choć równie tragiczną postać wygnania.

Część 1:

---

[14] O samotności bohaterki prozy Surynowej-Wyczółkowskiej pisze Marcelina Janisz. Zob.: tejże*, Zagubiona, samotna, zbuntowana – portret emigrantki w prozie Janiny Surynowej-Wyczołkowskiej*, (w:) *Filologiczne konteksty współczesności. Wyzwania literatury i języka w XX/XXI wieku*, red. Z. Czapiga, J. Pasterska, M. Kołodziej, V. Ciećko, Rzeszów 2013, s.102-115.

[15] W. Ligęza, *Doświadczenia latynoamerykańskie we współczesnej literaturze polskiej* (w:) *Emigracja. Polonia. Ameryka Łacińska. Procesy emigracji i osadnictwa Polaków w Ameryce Łacińskiej i ich odzwierciedlenie w świadomości społecznej*, red. T. Paleczny, Warszawa 1996, s. 152.

[16] Taki zabieg jest często obecny w prozie emigracji powojennej (na przykład w powieściach Kościałkowskiej, Mostwin, Nowakowskiego, Haupta). Jak dowodzą znawcy problemu, taki kształt utworu świadczy o przyjęciu strategii autobiograficznej. Zob. J. Smulski*, Autobiografia jako postawa i jako strategia artystyczna. Na materiale współczesnej prozy polskiej,* „Pamiętnik Literacki" 1988 z. 4; Cz. Niedzielski, *O teoretycznych tradycjach prozy dokumentarnej (Podróż – powieść – reportaż*), Toruń 1966.

Część 1:

https://www.cultureave.com/narracje-wyobcowanej-o-prozie-janiny-surynowej-wyczolkowskiej-czesc-1/

Pierwodruk: *Gringa – narracje wyobcowanej (Janina surynowa-Wyczółkowska)*, w: Jolanta Pasterska, *Emigrantki, nomadki, wagabundzki. Kobiece narracje (e)migracyjne*, Rzeszów, 2015, s. 35-50